

Michał Kuź: Restauracja liberałów

Zanegowanie przez hiperliberalne elity zbiorowych tożsamości nie powoduje oczywiście, że one znikają, przybierają jednak formy antysystemowe. Patriotyzm zamienia się w butny nacjonalizm, religijność w sekciarstwo, dumna przynależność klasowa w zamkniętą kastowość, płciowość w ostentacyjną prowokację, a świadomość swojej etnicznej spuścizny w suprematystyczny rasizm – pisze Michał Kuź w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Epoka (post?)Trumpa”.

Kiedy po przegranej Napoleona na tron wrócili Burbonowie, książe Talleyrand miał ocenić ich nastawienie słynną później sentencją: „niczego się nie nauczyli, niczego nie zapomnieli”. Istnieje poważna obawa, że podobnie będzie z restauracją liberalizmu w USA po ewentualnej przegranej Donalda Trumpa i zwycięstwie Joe Bidena.

Program na miarę czasów?

Błędem byłoby oczywiście twierdzenie, że Joe Biden nie ma programu i że nie jest to program, który odpowiada w pewnym stopniu na największe obecnie wyzwania polityki amerykańskiej. Przewiduje m.in. dalsze poszerzanie dostępu do świadczeń zdrowotnych, a więc kontynuację reformy Obamy, plan odbudowy gospodarki po pandemii oraz walkę ze zmianami klimatycznymi. Program zakłada też dość ogólnikowo zwiększenie roli związków zawodowych i wspieranie postawiania „silniejszej i bardziej inkluzyjnej klasy średniej”. Jest to jednak stanowczo za mało, aby zdjąć z Bidena odium kandydata establishmentu. Nie jest to program na miarę New Deal Franklina Delano Roosevelta, a wydaje się, że czegoś takiego Stany w tej chwili potrzebują. W debatach i wywiadach na pierwszy plan wysuwa się silny antytrumpizm kandydata demokratów i niewiele ponad to.

Niepokoi też reakcja demokratycznych polityków na zamieszki na tle rasowym, które przetoczyły i nadal przetaczają się przez USA. Mer Nowego Jorku Bill de Blasio, postanowił wręcz wyjść naprzeciw żądaniom niezadowolonych z brutalności policji demonstrantów i obciął w mieście stróżom prawa budżet o miliard dolarów (niecały 1 procent). Wielu demokratycznych polityków, w tym ubiegająca się o urząd wiceprezydenta Kamala Harris, opowiadało się głośno za „postulatami rasowej sprawiedliwości”, ale przeciwko przemocy. Brak było jednak wyraźnego przesłania potępiającego zamieszki. Myślenie na zasadzie im gorzej, tym lepiej dla nas, może jednak się na demokracjach zemścić, radykalni zwolennicy „sprawiedliwości rasowej” mogą bowiem nabrać jeszcze większej śmiałości po tym jak wybory wygra Joe Biden.

Zastanawia też płytkość debaty publicznej. USA to kraj, w którym problemem nie jest sama tylko rasa czy historia. Niestety kultura polityczna i używany w niej obecnie język nie pozwala na to by mówić wprost o poważnych zagadnieniach społecznych. Całe niezadowolenie związane z kiepskim stanem służby zdrowia, pauperyzacją klasy średniej, zadłużeniem studentów i niskim standardem usług publicznych znajduje więc ujście w starciu godnościowym, w którym aktywiści Black Lives Matter i uniwersyteccy lewicowcy zderzają się z bojówkarzami w typie skrajnie prawicowej, faszyzującej organizacji Proud Boys.

Strategia unikania nowego otwarcia w polityce socjalnej, gospodarczej oraz edukacyjnej i redukcja wszystkich niemal problemów społecznych do historycznych zaszłości i symbolicznej deprivacji doprowadziła w końcu do absurdu. Statystyki jasno pokazują, że od kilku dekad w USA rośnie przepaść dzieląca wartość majątków obywateli czarnoskórych od majątków białych. Różnice w samych dochodach utrzymują się zaś na podobnym wysokim poziomie. Niezwykle szybko postępuje natomiast rozpad czarnej rodziny jako instytucji chroniącej dzieci i koncentrującej majątek potrzebny do ich wykształcenia. Dziś liczni bojownicy i aktywiści zdają się jednak jak najbardziej poważnie sugerować, że osiągną większą równość rasową burząc pomniki generałów z czasów wojny secesyjnej, cenzurując stare powieści Marka Twaina i uzależniając przyznanie nagrody Amerykańskiej Akademii

Filmowej od różnorodności rasowej na planie. Wcześniej podobnym nowym demokratycznym fetyszyzmem było przekonanie, że fakt, że poprzedni prezydent USA miał ciemną skórę to początek społeczeństwa post-rasowego w USA. Paradoksalnie, tymczasem to oskarżany o rasizm prezydent Trump podkreślając, że kluczem do rozładowania napięć rasowych jest tworzenie miejsc pracy i możliwości rozwoju, jest bliższy historycznej agendy Partii Demokratycznej z wieku dwudziestego.

Gdzie kończy się liberalizm?

To czy prezydent Trump jest gwarantem wzrostu gospodarczego i tworzenia miejsc pracy jest oczywiście bardzo kontrowersyjne. Ożywienie gospodarcze, które faktycznie nastąpiło w początkowym okresie jego prezydentury szybko stopniało wobec kryzysu spowodowanego przez pandemię. W kampanii prezydenckiej w kwestiach programowych był zaś on jeszcze mniej konkretny niż jego oponent. Aktywność medialna prezydenta w wielu komentatorach wzbudzała natomiast, delikatnie mówiąc, konsternację. Patrząc na prezydenturę Donalda Trumpa całościowo wydaje się jednak, że jest to dokładnie taka antysystemowość, na jaką obecnie amerykańskie społeczeństwo stać.

Socjologowie wskazują na to, że prezydent Trump wygrał dzięki głosom ludzi bojących się o swój status społeczny, zwłaszcza zanikającej klasy średniej. Problem dawnych demokratycznych wyborców z Wisconsin czy Pensylwanii, którzy zdecydowali się w 2016 zagłosować na Trumpa polegał bowiem na tym, że od demokratów na bytowe pytania otrzymywali kulturowe odpowiedzi. Co gorsza odpowiedzi, których nie akceptowali. Hasło „białych przywilejów” bardzo źle rezonowało w grupach byłych pracowników przemysłu ciężkiego z tzw. „Rust Belt” i ich obciążonych potężnymi kredytami gospodarstw domowych. Piętnowanie kulturowego mizoginizmu niewiele zmieniało w sytuacji kobiet martwiących się o koszty opieki dla swoich dzieci, a potem ich wykształcenia. Podobnie zresztą jak wezwania do materialnych wyrzeczeń oraz reprodukcyjnej wstrzemięźliwości w imię ratowania środowiska. Prezydent Trump ze swoim protekcjonizmem, jako sposobem zachowania miejsc pracy, i wycofaniem się z ambitnej polityki klimatycznej, jako sposobem na obniżenie cen energii,

proponuje oczywiście rozwiązania niezadowalające. Jego przewaga nad liberalnymi oponentami polega jednak na tym, że w ogóle proponuje nieco inną od przyjętej politykę gospodarczą.

Bari Weiss, do niedawna gwiazda „New York Timesa”, po odejściu z gazety z powodu zbyt „wąskiej przestrzeni wolności słowa”, powątpiewa, czy ideologia, którą kierują się dziś intelektualne elity USA, jeszcze jest liberalizmem. Widzi w niej raczej nieokreśloną mieszankę następujących elementów składowych: „postmodernizmu, postkolonializmu, polityki identarystycznej, neomarksizmu i mentalności terapeutycznej”. Brytyjski filozof John Gray dostrzega jednak w nowym nastawieniu ideologicznym raczej logiczną konsekwencję liberalizmu, do tego stopnia, że określa je mianem hiperliberalizmu.

Z historycznego punktu widzenia to Grey wydaje się w swojej ocenie być bliższy prawdy. Pozimnowojenny liberalizm sprowadził na Stany Zjednoczone i inne kraje Zachodu plemienne wojny uliczne z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, jego ekonomiczne skrzydło zwane neoliberalizmem zdominowało debaty o polityce gospodarczej do tego stopnia, że akademicy, politycy i publicyści utracili nie tylko wolę, ale i nawet sam aparat pojęciowy umożliwiający poważne mówienie o innej niż liberalna ekonomii politycznej. Do tego właśnie faktu nawiązuje zresztą słynny skrótowiec TINA [there is no alternative – alternatywy brak]. Brak pojęć oznacza zaś spychanie pewnych problemów do zbiorowej nieświadomości i kreowanie w ich miejsce problemów zastępczych. To z kolei wywołuje niezwykle brutalne spory, których nie sposób rozwiązać, bo nie są w nich artykułowane ani prawdziwe motywy, ani sensowne rozwiązania. Dodatkowo TINA doprowadziła do progresywnego wycofywania się państwa z coraz to nowych sfer dawnej działalności, co w efekcie wywołuje coś co amerykański socjolog i urbanista Joel Kotkin trafnie nazywa „neofeudalizmem”.

Po drugie w sferze kultury i obyczajowości po 1989 zachodni liberalizm z mocą większą niż kiedykolwiek podważył realne istnienie zbiorowych tożsamości ponad jednostką i jej potrzebami. Myśliciele tacy jak Agata Bielik-Robson, Francis Fukuyama czy Fareed Zakaria zaczęli całkiem poważnie mówić o tym, że klas społecznych już nie ma, a narody, i

tradycyjne religie mogą wkrótce zniknąć. Ostatnio na horyzoncie zamajaczyła zaś nawet wizja zniknięcia płci jako czegoś, co ludzi dzieli. To wszystko nastawienie zupełnie inne niż dawnych klasycznych liberałów jak Montesquieu, Locke, Tocqueville czy Mill. Nie podważali oni bowiem nigdy samego faktu rzeczywistego istnienia wielkich odrębnych grup i kategorii ludzkich, postulowali jedynie, by jednostkę bronić przed zbiorowością tam, gdzie naruszane są jej fundamentalne prawa.

Zanegowanie przez hiperliberalne elity zbiorowych tożsamości nie powoduje oczywiście, że one znikają, przybierają jednak formy antysystemowe. Patriotyzm zamienia się w butny nacjonalizm, religijność w sekciarstwo, dumna przynależność klasowa w zamkniętą kastowość, płciowość w ostentacyjną prowokację, a świadomość swojej etnicznej spuścizny w suprematystyczny rasizm. Pierwotna potrzeba przynależności wywołuje reakcję obronną w obliczu postrzeganego ataku z zewnątrz, reakcję niemal zwierzęcą. Jest ona tym ostrzejsza, że elity abdykują ze swojej tradycyjnej roli kreowania zbiorowych tożsamości i ograniczają się do tropienia nietolerancji. By przynależać do nowej globalnej elity i unikać ostracyzmu w nauce, biznesie i sztuce trzeba wszak przyjąć hiperliberalizm z całym dobrodziejstwem inwentarza. Trzeba stwierdzić, że zbiorowości to co najwyżej kluby odzwierciedlające indywidualane preferencje. Biada jeśli ktoś, jak to niedawno uczyniła to J. K. Rowling, zasugeruje choćby w jednym tweecie, że np. kobietą nie można zostać na życzenie.

Może być gorzej

Hiperliberalizm, poza swoistą mistyką postępu, ma też równie irracjonalną demonologię. Jednostka jest bowiem przez niego nie tylko wyzwalana z oków rozmaitych nietolerancji, ale i w niektórych przypadkach obwiniana za wszelkie społeczne niedomagania. Donald Trump staje się więc dla liberalnych publicystów amerykańskich nieodgadnionym źródłem zła, Stalinem, Mussolinim i Hitlerem w jednym. Jego wyborcy to zaś dla hiperliberałów, jak zauważyła jeszcze podczas kampanii w 2016 roku Hilary Clinton, po prostu „deplorables”, czyli „obrzydliwcy”.

Hiperliberalizm uciekając od klasycznie rozumianej polityki i socjologii zmuszony jest bowiem tłumaczyć rzeczywistość społeczną w sposób najbardziej dziecinny z możliwych: stwierdza, że jego oponenti są po prostu źli, a świat działałby doskonale, gdyby tylko ich nie było. Dla Stanów Zjednoczonych i całego Zachodu katastrofą byłoby, gdyby takie właśnie podejście utrwaliło się po możliwym zwycięstwie Joe Bidena.

Przykrywanie problemów społecznych kulturowymi wojnami i elitarystycznym besserwischerstwem może doprowadzić do potężnego wybuchu niezadowolenia. Wyborcy Trumpa nie znikną zawstydzeni swoją obrzydliwością. Restauracja dawnego reżimu w stylu Burbonów wyprowadzi ich na ulice tak samo jak zabójstwo George'a Floyda wyprowadziło na ulicę radykalnych zwolenników demokratów. Pozostaje więc mieć nadzieję, że następcą prezydenta Trumpa postawi na wygaszanie wojen kulturowych na zasadzie konsensusu i budowanie sprawiedliwszego społeczeństwa.

Michał Kuź

Fot. Wikimedia Commons, Rhododendrites, CC-BY 4.0



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego